

Elwira Seroczyńska



Ze zdarzeń, które rozegrały się dwadzieścia lat temu w Squaw Valley, wielokrotnie już sfilmowanych i opisywanych, niejasne pozostało do dziś tylko jedno. Czy podczas pamiętnego wyścigu łyżwiarek na dystansie 1500 metrów trener Kazimierz Kalbarczyk, stojący przy torze, podawał Elwirze Seroczyńskiej czas poszczególnych okrążeń czy też nie? Trener twierdzi, że tak – krzyczał, jak mógł najgłośniejszy. Ona sama jednak mówi, że nie słyszała jego głosu, który przecież znała dobrze i zawsze umiała odróżnić spośród wielu innych. Nie była tym jednak zaniepokojona. Obawę zastąpił zachwyt nad nadzwyczajną lekkością poruszania się po lodzie. Podobnego przeżycia doznała miesiąc wcześniej, kiedy w Alma Acie pobiła rekordy kraju. To było niezwykle. Płynność ruchów, idealny rytm, zupełny brak zmęczenia. Spytała wówczas wielkiego łyżwiarza radzieckiego Gonczarenkę czy odczuwa tę samą lekkość? Zaprzeczył. Pamiętał biegi, w których ustanawiał rekordy, gdyż wydawało

mu się, że czuje każdy miesiąc z osobna i długo nie może odzyskać sił po biegu. Pomyślała wtedy jak wiele jeszcze może uzyskać, jak wiele sekund odebrać rywalkom.

Podczas Igrzysk Olimpijskich 1960 roku w Squaw Valley Elwira Seroczyńska była już doświadczoną zawodniczką. Dziesiąty rok startów na lodzie, znaczony, jak i poprzednie, wieloma tytułami mistrzyni kraju i rekordowymi wynikami. „I dopiero wtedy, właśnie, tej zimy, po raz pierwszy poznałam nieznany dotąd stan lekkości. To przyszło już pierwszego dnia w wiosce olimpijskiej, podczas porannego rozruchu. Pojawiło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i trwało równo cztery dni. Idąc na tor przeczuwałam, że zdarzy się coś niezwykłego...”

Pierwsza konkurencja, pięćset metrów, była bardzo pomyślna. Zajęła szóste miejsce i to z czasem lepszym od dotychczasowego rekordu. Drugiego dnia było podobnie. Nigdy nie lubiła długich dystansów, zawsze bała się zmęczenia. Na treningach

mogła wykonać niezliczoną ilość krótkich tempówek i to w bardzo dobrym czasie, ale dłuższy wysiłek rodził zawsze obawę.

Pomimo dobrego występu na pięćset metrów, nie zaliczano jej do grona pretendentek do olimpijskiego medalu w wyścigu trzykrotnie dłuższym. Biegła sama, tak jej się przy najmniej wówczas wydawało. Nie słyszała międzyczasów, tak przecież ważnych dla rozłożenia sił i rywalizowania z zawodniczkami, które ukończyły bieg wcześniej. Minęła metę bez najmniejszych oznak zmęczenia. Pamięta, że publiczność, ustawiona wokół toru, wiwatowała w sposób jakiego dawno nie słyszała. Zaczęła się rozglądać. W pierwszej chwili jakby nie rozumiała, że radość związana jest właśnie z nią, z tym czego dokonała. Spojrzała na tablicę pomiaru czasu i dopiero po pewnej chwili uświadomiła sobie, że cztery kolejne cyfry – 2257 to minuty, sekundy i dziesiętne sekundy, i że to jest jej właśnie czas, wynik najlepszy z dotychczasowych i drugi w historii na tym dystan-

sie! W konkurencji pozostały jeszcze dwie zawodniczki – Helena Pilejczykowa i Lidia Skoblikowa. Po zaciętej walce zwyciężyła wielokrotna mistrzyni świata, Skoblikowa, uzyskując czas nieznacznie lepszy od Seroczyńskiej, natomiast Pilejczykowa osiągnęła trzeci czas dnia. W takiej też kolejności weszły na podium

Seroczyńska nie uważa, że znając czas na poszczególnych odcinkach pojechałaby o te kilka dziesiętnych szybciej od Skoblikowej. Na mecie nie była zmęczona, wtedy narodziła się myśl, że przecież mogłaby jeszcze przyspieszyć i uzyskać wynik znacznie lepszy. Lecz to jedynie pozory. Jeżeli nawet trener uwierzył we wskazania własnego stopera, to jaką informację miał jej podać? Że przesadza z tą szybkością na początku dystansu, że powinna zwolnić, by rozłożyć siły, bo przecież według wszelkich logicznych reguł tak właśnie powinno się stać? Zawodniczka jechała przecież o blisko dwadzieścia sekund szybciej od swego rekordu!

„Byłam jak w transie. Od dnia przyjazdu. Wszystko zdarzyło się tak nagle i niespodziewanie, że jeszcze w pełni nie uświadamiałam sobie ani rangi imprezy, ani tego, co się wokół mnie dzieje. Kiedy we wrześniu, pięć miesięcy przed Igrzyskami, po raz pierwszy powiedziano nam, że istnieje szansa na występ olimpijski, nie wzbudziło to specjalnych emocji. Cel, przynajmniej dla mnie, wydawał się odległy i mimo wszystko mało realny. Decyzja zapadła w ostatniej chwili. Dzięki Helenie Pilejczykowej, która na mistrzostwach świata w Imtrze, zajęła drugie miejsce na tysiąc metrów, wysłano nas na Igrzyska”. Po raz pierwszy wówczas wprowadzono zawody kobiet do programu olimpijskiego. Wynik Pilejczykowej stwarzał pewne nadzieje na medal olimpijski, a wieloletnia rywalizacja z Seroczyńską miała te nadzieje utwierdzić. Stąd też zdecydowano się wysłać obie łyżwiarki. Ostatnie dwa tygodnie przed wyjazdem Elwira Seroczyńska spędziła w Parku Skaryszewskim. Na wąskiej ścieżce między przerębiami na stawie powtarzała sobie krok dostawny... Z tego parku w ciągu dwóch dni podróży znalazła się w Ameryce. Najpierw San Francisco, a później Reno, na granicy Kalifornii i Nevady, druga, obok Las Vegas amerykańska stolica gier hazardowych. Miliony neonów i dźwięki sypiących się rzetónów. Ktoś wygrał, nie pamięta już kto, lecz na pewno nie ona, bo jak twierdzi, nigdy nie miała szczęścia. Disneyland i spotkania z Polonią, wreszcie słynna indiańska dolina kobiet – Squaw Valley. Był wieczór, tak samo pospieszny, jak każda z minionych godzin, pełnych wrażeń, zaskakujących.

„Tego wieczoru w wiosce olimpijskiej pokazywano dziwne rzeczy. Ktoś zahipnotyzował jednego z amerykańskich łyżwiarzy. Śpiącego ułożono na dwóch krzesłach, stawiając je pod głową i nogami. Na wyciągniętym jak struna medium usiadło trzech